

ROZDZIAŁ 11

Jest jedna rzecz, która mnie martwi, sir. Powiadają, że mistrz Yoda mówił o tej wojnie jako o Wojnie Klonów tuż po Bitwie o Geonosis. Była to pierwsza bitwa tej wojny. Dlaczego właśnie w ten sposób ją określił, od klonów, które w niej walczyły? Czy kiedykolwiek mówiliśmy o Wojnie Piątej Floty albo Wojnie Koreliańskiej, albo Wojnie Brygady Baij? Co on wie, czego my nie wiemy?
generał Bardan Jusik, zwierając się generałowi Arliganowi Zeyowi.

Wahadłowiec w drodze z Dorumaa na Qiilurę.
478 dni po Geonosis.

– Co oznacza cyar’ika? – zapytała Etain, patrząc na coś, co trzymała w stulonej dłoni.

Ordo mógł tylko się domyślać, jak to będzie wyglądało. Skoro utknęli razem w kokpicie małego wahadłowca nie miał innego wyjścia, jak tylko zacząć rozmawiać. Obawiał się, że mogą wyniknąć problemy, w których czuł się żalonym ignorantem, a to, że nie zawsze umiał odpowiedzieć, bardzo go denerwowało. Chciał być doskonały.

– To oznacza „kochanie” – rzekł. – Słoneczko. Najmilsza. Najdroższa.

Etain głośno przełknęła ślinę.

– A czy kobieta może tego słowa użyć wobec mężczyzny?

– Możesz go użyć wobec każdego – odrzekł Ordo. To Jedi próbowała się po omacku przedzierać przez pole minowe obcego języka. – Każdego, kogo kochasz. Dziecko, partner, zwierzątko, rodzic... wszystko jedno.

– Ach, tak? – w jej głosie zabrzmiała nuta zawodu, jakby nie tego oczekiwała. – Rozumiem.

– Cóż, jeśli Darman użył tego słowa, to nie dlatego, że cię uważa za swojego strilla, generale.

Parsknęła cicho, jakby próbowała się zaśmiać, ale zapomniała, jak to się robi.

– Więc wszyscy wiedzą o dziecku z wyjątkiem Dara?

– Tylko Kal’buir, sierżant Vau oraz moi bracia. I naturalnie Bard’ika. Mamy obowiązek dbać o ciebie.

– Ja... doceniam to, co dla mnie robicie.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Krwawisz?

– Nie ... Jusik wiedział, że jestem w ciąży, zanim powiedziałam Kalowi. Wyczuł to – odetchnęła głęboko i złożyła dłonie na brzuchu tak, jakby był dużo większy niż w rzeczywistości. – Czy Kal jeszcze się na mnie gniewa?

– Wiedziałybyś, gdyby tak było. Kal’buir po prostu bardzo się o nas troszczy, chciałby naprawić galaktykę, by zapewnić nam lepszą przyszłość, ale to niemożliwe. Poza tym jesteśmy dorośli.

– Powiedzieliście mu to?

– Nie w tych słowach.

– Więc też się go boicie.

– Nie, boję się, że nie będę go wart.

Trudno się żyje ze świadomością, że ktoś poświęcił swoje życie dla ciebie. Masz wobec niego dług, którego nigdy nie spłacisz. Ordo chciał mieć pewność, że Kal’buir przespał noc w wygodnym łóżku, że nic mu nie dolega. Chciał, aby znalazł sobie miłą kobietę, która będzie się o niego troszczyć. Chciał dla swojego buira tego samego, czego pragnął dla swoich synów.

– Lepiej go uprzedzę, że nadlatujemy, kiedy tylko opuścimy nadprzestrzeń.

– Czemu nie zawiadomiłeś go wcześniej?.

– Ponieważ kazałyby mi zabrać cię na Coruscant, a ja nigdy nie okazałbym mu nieposłuszeństwa.

– Nawet jeśli nie ma racji?

Ordo nie zawsze zgadzał się ze Skiratą, ale to jeszcze nie to samo, co „nie mieć racji”.

– On mnie tam potrzebuje.

– A czy ja, w tym stanie, będę wam mogła w czymś pomóc?
– Nie musisz pomagać.
– O co chodzi z tą Dorumaa? Ponieważ wiem, że Kal nigdy nie wzięłby urlopu w środku wojny.

Nie było sensu przed nią tego ukrywać. I tak się dowie.

– Chodzi o Ko Sai.
– Co z nią?
– Myślę, że znaleźli ją i jej badania.
– Więc Kal się nie przechwalał.
– Mereel szukał jej od miesiący. Niestety, Delta też wie, gdzie jest Ko Sai. Teraz są w drodze na Dorumaa z rozkazem kanclerza, aby ją schwytać.

Spojrzał na Etain. Wyglądała jak przerażone dziecko. Twarz miała szarą. Nie powinien był jej o tym mówić. Nie wolno jej było się denerwować, ale przecież i tak by się dowiedziała, gdy wylądują na Dorumma, a on nie mógł zostawić ją na Qiilurze ani dnia dłużej.

– Jesteś szalony.

– Ja?

– Kal i Zerowi szykują się na Deltę i... stawiają wyzwanie Palpatine'owi?

Próbował ją uspokoić.

– Nie zamierzamy walczyć z Deltą... chcemy tylko dopaść Ko Sai pierwsi. Nic złego się nie stanie.

– Ordo, musicie skończyć z prywatnymi armiami. W końcu rozstrzelają cię za zdradę.

Ordo usłyszał wszystkie dzwony piekieł. Może chciała go po prostu ostrzec, ale trafiła celnie, zważywszy na Sulla i innych żołnierzy ARC, którzy chcieli opuścić WAR.

– Więc wiesz, że usypiają nas jak zwierzęta?

– Chciałam...

Miał ochotę zapytać wprost: czy Jedi wiedzą o egzekucjach? Czy kiedykolwiek rozmawiają o tym, co dzieje się z klonami, kiedy bitwa się zakończy? Wiedział, że Kal'buir byłby wściekły, gdyby denerwował Etain i poroniłaby, więc ugryzł się w język – dosłownie.

To dziecko. Jest taka jak Bard'ika, tylko nie tak pewna siebie i dobra w tym, co robi. Opuść sobie.

– Przepraszam.

Zwalczył chęć wylądowania na Etain swojej wściekłości i frustracji, nie dlatego, że to nie w porządku, lecz ze względu na

Kal'buiira i Darmana. Chciał zapytać, czemu tylko garstka Jedi protestowała przeciw armii niewolników, i jak mogą patrzeć bezczynnie na to, co dzieje się z klonami. Było to pytanie, które powinien także zadać Zeyowi. Ale powiedział tylko:

– Zmieńmy temat. Besany zaproponowała, że ugotuje dla mnie kolację. Czy ma na myśli kolację, czy...

Urwał. Etain wpatrywała się w niego zszokowana. Jak człowiek, który właśnie widział straszliwy wypadek. Ścisnęła mu ramię.

– Ordo, możemy cofnąć taśmę? Proszę? Kto usypia klony? Czy Zey o tym wie?

Nie musiał być wrażliwy na Moc, żeby wiedzieć, że zaniepokoiło ją to, co powiedział.

– Żołnierze ARC są ścigani przez żołnierzy tajnych operacji, więc chyba tak. Zey chętnie zezwalał Kal'buirowi na nielegalne zabójstwa, których nie można mu przypisać, prawda? – Ordo otarł usta grzbietem dłoni. – Ale nie wiem tego na pewno, I nie powinienem ci mówić.

– Ale powiedziałaś, a ja jestem zdruzgotana.

– Etain, Wielką Armię można opuścić tylko w foliowym worku – próbował złagodzić znaczenie tych słów, zwracając się do niej po imieniu, pomijając rangę. – Kiedy ta historia się rozniesie, jak sądzisz, jaki będzie miała wpływ na morale klonów?

Etain starannie ważyła każde słowo:

– Ordo, nic nie mogę poradzić na to, że jestem Jedi. Nie miałam wyboru, podobnie jak ty. Nie mogę też nie posługiwać się Mocą, tak samo, jak ty nie potrafisz nie używać rozumu. Przerażasz mnie, wyczuwam ogromny gniew, który starasz się stłumić i zastanawiam się, kiedy wybuchniesz.

Nie powiedziała mu nic, czego by sam nie wiedział. Kal'buir powiedział, że nie można rozmnażać ludzi w taki sposób jak Kaminoanie i spodziewać się zadowolonych z życia klonów. Przynęta na aiwhy była zainteresowana wyłącznie produkcją posłusznych narzędzi do zabijania. Nie będą przecież żyli tak długo, aby zastanawiać się nad własną egzystencją i się zorientować, że zrobili kiepski interes.

Czy Besany widzi w nim psychola? Nie wydawała się bać. Czy powiedziałałyby, gdyby się bała?

– Etain, nie jesteś odpowiedzialna za cały zakon Jedi – próbował ją uspokoić. – Muszę zabijać, nie mam wyboru, ale nie zabi-

jam dla przyjemności. Nie sędzę nawet, że każde życie jest święte. Troszczę się jedynie o siebie i swoich braci. Jeśli to oznacza dalsze zabijanie, nie spędzi mi to snu z powiek.

– Jeśli ci to pomoże – odrzekła Etain – ja dotarłam do punktu, w którym przestałam się przejmować, ilu farmerów zginie na Qiilurze, byle nie ginęli moi żołnierze. Nie sędzę, aby Rada Jedi była tym zachwycona, ale ja nauczyłam się z tym żyć. Myślę, że oni usprawiedliwiają swoją obojętność za pomocą odwrotnego procesu.

Ta rozmowa była jednym z najgorszych doświadczeń Orda. Nie miał już właściwie nic do powiedzenia, więc odwrócił się od Etain i zaczął sprawdzać kurs, aby skorygować punkt wyjścia z nadprzestrzeni. Nic dziwnego, że Mandalorianie opowiedzieli się w tej wojnie po stronie separatystów – Republika gniła. Ale wyładowywanie swojego obrzydzenia na przerażonej dziewczynie w ciąży, która była równie pozbawiona praw obywatelskich – właśnie tak, obywatelskich – jak on, nie było godne Mando. Orda ogarnął wstyd. Zawsze tak było, kiedy dawał się pokonać gniewowi. Etain miała rację.

– Co zrobisz, jeśli Venku będzie wrażliwy na Moc? – zapytał, starając się załagodzić sytuację.

– Będzie. – Etain poklepała się po brzuchu. – To już wiem. I nie pozwolę go zabrać, jak mnie zabrano rodzicom. Nauczę go panować nad Mocą, jeśli Kal mi pozwoli, ale moje dziecko nie zostanie Jedi.

– Czy wiesz, że prawdopodobnie umrze przed tobą – będzie żył tak długo jak inni ludzie?

– Słucham?

– Mereel od jakiegoś czasu włamywał się do danych z Tipoca, żeby dowiedzieć się, które geny odpowiadają za przyspieszony proces starzenia.

– Nie miałam o tym pojęcia.

– No, ogłoszeń nie zamieszczaliśmy.

– Mów, proszę.

– Niektóre geny, które wykorzystywali do przyspieszenia starzenia się, są recesywne, inne trzeba włączyć lub wyłączyć. Kaminiise regulowali nas na każdym etapie, jak widzisz. Gdybyśmy byli roślinami hybrydowymi, powiedzieliby, że się nie rozmnażamy prawidłowo. Właśnie to jest interesujące w epigenetyce...

Ordo przerwał, bo Etain położyła nagle dłoń na ustach i zacisnęła powieki. Jego pierwszą myślą było poronienie. Nigdy nie użyłby słowa „panika”, na określenie tego, jak się poczuł, ale tkwił w małym wahadłowcu, do dyspozycji miał tylko apteczkę pierwszej pomocy i.. swoją ejdetyczną pamięć podręcznika medycznego.

Nagle zrozumiał, że Etain płacze, i stara się nie szlochać na głos. Nie sądził, że jest beksą. Kal’buir natychmiast zaczęłby ją pocieszać, ale Ordo nie czuł się na siłach. Wreszcie otarła mokrą od łez twarz rękawem brunatnej zniszczonej szaty Jedi.

– Przepraszam – szepnęła – Tak bardzo się o to martwiłam. Kal ma rację – nie ma nic gorszego niż przeżyć własne dzieci. Ale jestem w stanie znieść wszystko, jeśli Venku będzie miał normalne życie.

– Wierz mi, ta przynęta na aiwhy chce całkowitej kontroli nad produktem. Mereel jednak nabiera wprawy, wie, co testować.

Poczucie ulgi sprawiło cud. Drobna, szara z bólu twarz Etain złagodniała. Jedi wyglądała prawie ładnie. Usiadła wygodniej w fotelu pilota z błogim uśmiechem na ustach. Kal’buir zawsze powtarza, że bycie ojcem dla Zerowych stało się jego zbawieniem: może to samo będzie z nim, choć jeszcze wiele wody upłynie, zanim choćby wspomni Besany Wennen o dziecku. Jeszcze jej nawet nie pocałował.

– Jak myślisz, czy Kal czasem się zastanawia, co dzieje się z jego rodziną? – zapytała Etain.

Był to delikatny temat, jedyny sekret, jaki Kal miał przed swoimi chłopcami: że jego biologiczni synowie ogłosili go dar’buir – byłym ojcem, rozwód w stylu Mando – kiedy zniknął z galaktyki wraz z innymi mandaloriańskimi sierżantami szkoleniowcami. Ich zadanie było tak tajne, że nie mogli nikomu powiedzieć, dokąd się udali.

Tak, synowie Skiraty wciąż mieli mu za złe zniknięcie, choć teraz zapewne są już dorośli. Dwaj synowie i córka: Tor, Ijaat i Ruusaan.

– Po rozwodzie oddawał im wszystko co do kredyty. – rzekł. – Przez lata. Dlatego musiał przyjąć ten kontrakt z Kamino.

– Mandalorianie popadają w skrajności, jeśli chodzi o rodzinę, prawda?

– Nie ma alternatywy.

– Ordo, jeśli nawet kiedykolwiek kłóciłam się z Kalem, szanuję jego oddanie wam. Nie jestem pewna, czy sama miałabym

odwagę dopuścić, by moje dzieci wyrzekły się mnie, raczej nie dotrzymałabym tajemnicy.

– Trudno z tym żyć, kiedy wiesz, że to twoja wina.

– Może, ale to wspaniale mieć kogoś, kto aż tak troszczy się o ciebie.

Etain i Jusik byli jedynymi ze znanych Ordowi Jedi, którzy tęsknili za rodziną. Zey, Camas i Mas Missur wydawali się całkowicie zadowoleni z życia, podobnie, jak wszyscy padawanowie. Etain nie wiedziała, czy jej rodzice są wspaniałymi ludźmi, czy może matka jest fanatyczką religijną, a ojciec tyranem, jak rodzice Walona Vau. Może Jedi wyświadczyli jej przysługę. Nigdy się nie dowie.

– Zbliżamy się do Dorumaa – poinformował Etain. – Powiadomię Kal’buira i znajdziemy ci jakieś miłe miejsce, a my zajmiemy się swoją robotą.

– Wiesz, co by mi bardzo pomogło, Ordo?

Wreszcie lina ratunkowa! Chwyć ją natychmiast.

– Mów śmiało.

– Chciałabym wiedzieć, gdzie jest Darman i co się z nim dzieje. Kiedyś mogłam skontaktować się z nim, albo przynajmniej uzyskać informację ze sztabu, ale trudno z nim rozmawiać, kiedy nie mogę mu powiedzieć o Venku.

– Sprawdzę, jak tylko zejdziemy poniżej prędkości światła.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

– Ona nie miała na myśli tylko kolacji.

– Kto?

– Bessany. Pytałeś.

– Aha. Rzeczywiście.

Ordo nagle był bardzo zaabsorbowany wskaźnikami lotu, Zszedł ze Szlaku Koreliańskiego, gwiazdy stały się znów punktami świetlnymi. Choć robił to naprawdę wiele razy, wciąż odnosił wrażenie, jakby potem jeszcze długo spadał. Skorygował kurs na Dorumaa i wyjął komunikator.

– Zanim spytasz, Kal’buir – rzekł – Etain czuje się dobrze.

Skirata był zdyszany.

– Gdzie jesteście?

– Nie na Qiilurze...

– Coś jest nie w porządku?

– Nie, ale Etain lepiej zrobi pobyt na Dorumaa, niż na Qii-lurze. Ty będziesz potrzebował całej pomocy, jaką zdołasz uzyskać.

– Jesteś paskudnym chłopcem, Ord'ika.

– Przepraszam, Buir.

– Ach, daj spokój – rozległo się stęknienie, jakby Kal otrzymał cios w splot słoneczny, a potem seria głuchych uderzeń. – Wiesz, że zawsze się cieszę, jak jesteś w pobliżu,

– Czy mogę zapytać, co robisz?

– Mereel ma nowiutką zabawkę do polowania na kaminiise. Omal nie zwymiotowałem. Właśnie ją testujemy.

– Jakież wieści?

– O tak, to tylko kwestia infiltracji.

– Ona tam jest? – z radości jego żołądek fiknął koziołka. – Czy to pewne?

– Bardzo prawdopodobne, ale pewności nie ma.

– Kiedy wchodzić?

– Właśnie teraz.

Wahadłowiec wciąż był jeszcze o kilka godzin od Dorumaa. Ordo był rozszalony, że nie może być teraz z braćmi, ale natychmiast zawstydział się, że żywi cień urazy do Skiraty. Ojciec znów naraża się sam, jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. Nie mam prawa się denerwować. Wziął się w garść, by nie zepsuć Skiracie tej wielkiej chwili.

– Uważaj, Kal'buir, ona nie jest sama.

– To ona musi uważać, bo to ja mam przepis na tatsushi.

– Dołączymy do was najszybciej, jak się da.

– Przykro mi, że nie mogliśmy na ciebie zaczekać, synu. Delta będzie tutaj jutro.

– Rozumiem. Gdzie jest teraz Bard'ika?

– W drodze na Dorunaa, aby trzymać Deltę z daleka od Ko Sai, kiedy się tu zjawią. Na wszelki wypadek.

– Czy znaleźliście miejsce, gdzie można będzie umieścić Ko Sai, zanim przekonamy ją do współpracy?

– Myślałem o Mandalore. Ray Bralor ma wobec mnie dług. Podobnie jak Vhonte Tervho. Wciąż jeszcze jest w okolicy paru Cuy'val Dar.

– Lepiej poinformuj nas, gdzie będzie punkt zborny, w razie gdybyście zwiali zanim wylądujemy.

– Zrobię to. Przepraszam, że nie kontaktuję się z oddziałami. Kiedy wyjdziemy z tego shabuir, muszę im poświęcić trochę czasu i dowiedzieć się, co słychać.

– Powiedz Mereelowi, żeby się dobrze bawił swoją zabawką, cokolwiek to jest.

Ordo miał nadzieję, że jego twarz nie wyraża rozczarowania. Etain jednak była Jedi i wiedziała, co Ordo czuje.

– Nigdy nikogo tak nie nienawidziłam – powiedziała. – Jedi nie powinni ulegać emocjom.

– Lepiej, żeby mnie tam nie było, kiedy ją znajdą. – Ko Sai zdecydowała, które z klonów mają żyć, a które nie spełniają wymogów i należy je zabić. Na jego i jego braci wydała wyrok śmierci, kiedy mieli dwa lata. Mereel chętnie podyskutowałby o tym, w jaki sposób mógłby ją zabić. – Eksterminacja to raczej osobista sprawa.

– On nie żartował z tymi przepisami, prawda?

– Dlaczego tak uważasz?

– Mandos – slang w jej ustach brzmiał dziwnie. – Oni... wy lubicie swoje trofea. Zachowujecie broje po zmarłych, których kochaliście. Słyszałam, że niektórzy noszą przy pasie skalpy i... inne rzeczy.

A więc tak aruettiise widzieli Mandalorian: dzikusy, ale przydatne, kiedy trzeba walczyć za ciebie. Nic dziwnego, że klonów tak łatwo kojarzyli z Mandalorianami. – Był czas, kiedy nie mogliśmy chować naszych zmarłych – ani innych też. Ale nie sądzę, aby kiedykolwiek doszło do kanibalizmu. Powiadają, że kaminii smakuja jak mięso jaala, mieszanina ryby i mięsa,

Sądząc z wyrazu twarzy, Etain potrzebowała kilku sekund, aby zorientować się, że to żart. Ciało było siedzibą duszy, rozumu, wydawało się, że to nie ma znaczenia, czy zostało ono pochowane, zjedzone, czy pozostawione na łup drapieżników.

Ordo chciał cieszyć się życiem tak długo, jak każda inna istota, ale odetchnął z ulgą, kiedy zrozumiał, że jeśli umrze przed Skiratą, zostanie mu oszczędzony ból po stracie osoby, którą kochał. Samolubna myśl. Nie wyobrażał sobie życie bez Kal'buira.

– Zabawne. Nie mam ochoty jeść mięsa, odkąd jestem w ciąży – odparła Etain.

Znajdowali się teraz w nieprzyjacielskiej przestrzeni. Ordo przeszukiwał przez chwilę stosik chipów ID i włożył jeden do notatnika, by go zaprogramować. Teraz dla wszystkich kontroli był partnerem Etain, mogli nawet udawać znudzoną parę.

Etain zapoznała się z tożsamością, pod jaką będzie przebywać na Dorumaa.

– Jeśli pobierzecie się z Besany, będzie musiała robić te wszystkie rzeczy Mando, prawda?

Ordo nigdy nie myślał o tym, co będzie za jakiś czas, żył teraźniejszością.

– Chodzicie o zjadanie jeńców i noszenie naszyjników z ich zębów?

– Poważnie. Po prostu przyszło mi do głowy, że... no cóż, ja będę musiała. Dla Dara. Gwarantuję, że mistrzowie Jedi się wściekną.

– Musisz sprawić im taki kłopot jak Bard'ika.

– A czego się oczekuje od mandaloriańskiej żony?

– Powinna walczyć przez osiem godzin dziennie, potem upichcić obiad dla męża, a dzieci rodzić między bitwą i gotowaniem obiadu.

– Poważnie...

– To może być ciężkie życie. Ale na pewno cię nie zniechęci. Naucz się tylko splatać włosy. Podobno wtedy łatwiej mieszczą się pod hełmem.

Jedi mieli więcej wspólnego z Mando'ade, niż chcieli przyznać. Ordo obserwował czasomierz z narastającą frustracją, mając nadzieję, że jednak zdąży wziąć udział w porwaniu Ko Sai. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli Etain zaczeka na rozwiązanie na Mandalore, jak już załatwi sprawę na Darumaa.

Skirata zawsze mógł przekonać Zeya, że Jedi będzie potrzebowała kilku miesięcy, aby sprawdzić, czy Sepowie pozyskują z Keldabe beskar, supertrwałe żelazo mandaloriańskie. Zey wiedział, kiedy nie zadawać zbyt wielu pytań.

Z pewnością zaś nie spytał ich o żołnierza ARC A-30, Sulla.

Szelf wyspy, mniej więcej dziewięć kilometrów od wyspy Tropix,
Dorumaa, 478 dni po Geonosis.

Skirata sprawdził broń, wykonując rytualny gest. Robił tak od szóstego roku życia, kiedy Munin Skirata znalazł go skulonego w ruinach zbombardowanego budynku na Surcaris, zaciskającego w garści trzystronny nóż zabitego ojca.

Od tamtych czasów broń bardzo się zmieniła – technologia, kredyty i doświadczenie sprawiły, że jego ulubionym narzędziem

stał się zestaw mały i cichy, zwłaszcza kiedy musiał pracować w aruetyckich ubraniach. Chciał, aby Ko Sai zrozumiała, że ma do czynienia z Mando'ade.

Istniała możliwość, że ma ochronę. Te roboty, które Twi'lek przetransportowała, musiały się gdzieś podziać, trudno też było powiedzieć, jakie inne niespodzianki przygotowała dla nieproszonej gości.

Zawsze zakładaj najgorsze.

Jeśli okaże się, że to tylko dianoga w studzience ściekowej, to nie chciał, aby rozczarowanie spowolniło go o bodaj jedno uderzenie serca. Wróci do polowania, ponieważ ta odrażająca gilhaaal zdecydowanie była na tej planecie. Czuł to.

Jakże miło jednak byłoby uciekać przed Zeyem. Mam dość całkowania go po shebs. Jestem zmęczony Republiką.

– Ciasnawo, co? – zapytał Mereel. Wydawał się doskonale bawić i Skirata cieszył się, że chłopak potrafi znaleźć przyjemność w najmniej oczekiwanych sytuacjach. – Raczej nie zbudowano jej dla dwóch ludzi w zbrojach, prawda?

Skirata powtórzył jak litanię: nóż w wyrzutni w karwaszu, krótki karabinek rozpryskowy z Verpine, robiony na zamówienie miotacz WESTAR, kastety, łańcuch z durastali. Granatów ogłuszających i sprzętu w kieszeniach przy pasie nie liczył, były to drobiazgi do samoobrony.

– Nie zalecałbym wszakże rzygania do hełmu, nie...

– Ale przecież nie...

– Było blisko.

– Postaram się nie kołysać za mocno.

– Ko Sai?

– Nie, tego statku.

– Aha – zdecydowanie, bo żołądek obijał mu się o zęby. – Skąd masz tę wyrzutnię harpunów?

– Była w schowku na narzędzia „Aay-hana”.

Tak, Mereel był w szczytowej formie. I naprawdę nienawidził Ko Sai. Skirata kochał swoich synów bez zastrzeżeń, ale czasem go denerwowali, a ich fenomenalna inteligencja nie gwarantowała wcale, że – od czasu do czasu – nie wymkną się spod kontroli.

Cud, że w ogóle są aż tak normalni. Będę jednak gotów wkroczyć, jeśli przestanie nad sobą panować, gdy dopadną Ko Sai.

Dwa siedzenia Wavechaseera znajdowały się jedno za drugim, jak w kokpicie kanonierki, z tyłu był niewielki przedział towarowy – jakieś cztery metry sześciennie – do przechowywania żywności i sprzętu do nurkowania. Była to łódź sportowa. Przewiezienie Ko Sai w bezpieczne miejsce na przyjacielską pogawędkę może się okazać wyzwaniem logistycznym. Łódź miała niecałe dwa metry szerokości, co oznaczało, że zmieści się w śluzie powietrznej przy złożonych hydroplatach. Shab, jeśli dojdzie co do czego, ogłuszy tę przynętę na aiwchy kolbą miotacza, wcisnie jej aparat oddechowy w usta i pociągnie za sobą, jeżeli będzie musiał.

Vau podał za nimi „Aay-hanem” w dyskretnej odległości. Skirata znał jego położenie tylko dzięki temu, że na jego wyświetlaczu HUD widoczna była plamka, a sam Vau był w zasięgu komunikatora. W ciasnym kokpicie nie można było się nawet obejrzeć.

Chakaar doskonale sobie radził z pilotowaniem.

– Nie uszkodź tej łodzi, Walon – ostrzegł Skirata.

– Ach, uczysz się jednak. – Vau wydawał się dzisiaj wyjątkowo zadowolony. Możliwe, że nienawidził Ko Sai bardziej, niż sądził Skirata. – W istocie to łódź, a nie statek.

– Odkąd to przestrzegasz morskiej terminologii?

– Mój ojciec był admirałem w Imperialnej Flocie Irmenu – powiedział Vau pogardliwym tonem, jakim zawsze wyrażał się o członkach swojej rodziny. Skiracie cierpły zęby, gdy Vau mówił w ten sposób. – Nie wspominałem ci o tym? Ceremonialny mundur jak zasłonki w hutyjskim burdelu i pięćsetletnie wibroostrze. Chciałem się zaciągnąć, ale wiesz, że nie jestem dość dobry.

– Lecz flota Mando weźmie każdego starego osika, nie?

– Mielicie kiedyś flotę morską?

– Własną czy pożyczoną? Po co ci flota?

– Ciekaw byłem. Taka sobie gadka, zanim ci powiem, że udało mi się włamać do głównego komputera Dorumaa. Do miejsca, które prawie pokrywałoby się z lokalizacją wejścia do jaskini, gdzie przekazuje się zaskakująco dużo energii.

Skirata się uśmiechnął.

– Dama potrzebuje dużo światła, zamrażarek, autoklawów oraz superkomputerów do pracy nad klonowaniem. Powiedziałbym... Czy w tym miejscu na powierzchni jest jakaś duża instalacja?

– Tylko boisko do bokoballa, a to nie zużywa dużo energii. Nie tyle, ile pompy, oświetlenie, chłodzenie... no sam wiesz.

– Oya! – z chorobą morską czy bez, łowy Skiraty właśnie zyskały duże szanse na sukces i mógł mieć tylko nadzieję, że to nie zbyttnia pewność siebie.

Oya. Zapolujmy.

Było to krótkie słowo, ale tak wrośnięte w mandaloriańską duszę, jak wszystko, co dobre w życiu: od „idziemy” po „powodzenia”, po „dobra robota”, po... To najlepsze wieści, jakie miałem od lat.

Wavechaser nie miał wbudowanego sonaru ani zewnętrznej holokamery, więc gdy znaleźli się na pozycji, mogli poruszać się jedynie według mapy i Oka w Dziesiątkę, jak lubił to nazywać. Statek, teraz nazywany Gi’ka, czyli Mała Rybka – wśliznął się w cień nawisu skalnego i ustawił się wzdłuż tunelu.

– Wiesz może, na jaką głębokość możemy zejść? – zapytał Skirata, zauważając, że kadłub trzeszczy.

– Dwieście metrów. Nie ma problemu, Udesii.

– Dobra.

– Podaj mi czujnik.

Łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić. Skirata precyzyjnie się pomiędzy Mereelem a ścianą. Skirata wciąż powtarzał sobie w myślach, co należy robić w razie pęknięcia kadłuba. Musiał przyznać, że w wodzie nie czuł się pewnie.

Mereel wycelował czujnik, niewielki pistolet sonarowy i w HUD Skiraty pojawiła się odczyt. Wart każdego kredytu. Powinienem zmodernizować HUD już wiele lat temu. Kiedy powiększył obraz, wydawało się, że tunel kończy się ślepo i jeśli kalibracja nie kłamała, ma prawie sto metrów długości.

– Założę się – rzekł Mereel – że to jest studzienka, która ma stanowić przeszkodę utrudniającą dostanie się do pomieszczeń, w których pracuje Ko Sai – Odetchnął głęboko, widocznie jednak Mer’ika nie był tak pewny siebie, jak się wydawał. – Oya.

Gi’ka parła cicho naprzód, jeśli nie liczyć lekkiego bulgotania napędu.

Powoli, powoli...

Głos Vau był jak szept w komunikatorach hełmów.

– Z tej strony wszystko czyste. ETA Ordo wynosi pięćdziesiąt minut, Jusika dwie godziny.

– A Delty?

– Pięć, może sześć.

Na takiej misji, z tak wielką liczbą niewiadomych, słaby ślad mogli szybko stracić.

– Możemy stracić sygnał, Walonie. Punkt odrotu to...

– Ja nie wracam, Kal. Będę tu czekał, aż mi zabraknie tlenu. To dwa miesiące... co najmniej.

– Mam nadzieję, że wziąłeś ze sobą coś do czytania...

– Na pewno nie będę się nudził. Będę liczył łupy.

Vau zawsze wiedział, jak go zdenerwować, ale ponieważ nie były to złośliwe aluzje, można uznać, że w ten sposób okazuje przyjaźń. Skirata poczuł, jak pot skrapla mu się na górnej wardze. Wydawało mu się, że woda się rozjaśnia. ale to tylko jego wyobraźnia.

Jeśli uruchomili jakieś alarmy...

Nie, woda rzeczywiście jaśniała. Widział wyraźnie zielonkawą poświatę.

– Mer'ika, co to jest?

– Jeśli to sztolnia – odparł Mereel – będzie tu pionowy szyb.

– Sprytny chłopak.

– Wiem, jak myślą kaminiise. Pamiętasz tę starszą część Tipoca? Jak budowali pierwsze miasta, kiedy planeta została zalana?

– Nie muszkowałem tak jak wy, dzieciaki.

Kaminoanie nienawidzili Zerowych. Nieopanowani, mówił Orun Wa. Zboczeni. Stuknięci. Ko Sai przesłała nawet Jango Fettowi przeprosiny za tak wadliwy produkt, obiecując jednocześnie, że w serii Alfa wszystko zostanie naprawione, kiedy już „usuną” wady.

– Miło byłoby znów ją zobaczyć, niech się przekona, jak sobie radzi jej wadliwy produkt.

Teraz pojazd znalazł się w mętnej wodzie o kilka metrów od miejsca, które wydawało się wyrwą w sklepieniu tunelu i po chwili znaleźli się w promieniu światła. Mereel wyciągnął szyję.

– Tutaj, Kal'buir.

Ponad transparistalową kopułą znajdował się wypełniony wodą szyb. Woda była dość przejrzysta, aby zobaczyć powierzchnię. Nie wydawało się, aby miał pięćdziesiąt metrów, Może trzydzieści. Na górze widać było nieruchomą bryłę – kadłub.

– A więc to zżera tyle energii – mruknął Skirata.

– Tak, zdaje się, że jest poniżej poziomu morza. Może chodzi o to, aby w razie potrzeby zatopić wewnętrzną komorę.

– Rozbijmy to – rzekł Skirata.

- Robi się ciekawie.
- Do góry, Mer’ika.

Trudno było powiedzieć, czy ktoś tam na nich czeka, czy są zastawione pułapki. Ale nie było dianogi, tylko jaskrawe, różowo-pomarańczowe porosty na ścianach, a kiedy Gi’ka wypłynęła na powierzchnię i woda spłynęła strugami z kopuły, Skirat mógł dostrzec, że znajdują się w czymś, co wyglądało jak basen pływacki z wyłożonymi kafelkami brzegami i listwami oświetleniowymi na sklepieniu. Na wodzie, na falach wywołanych przez Gi’ka, kołysał się stateczek, niewiele większy od Wavechasera, zacumowany do brzegu.

Mereel wyjął miotacz, Kal przygotował się do skoku w ślad za nim i kopuła się otworzyła.

Gi’ka przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Dopiero, kiedy Mereel przełączył coś na konsoli, ustabilizowała się. Poprowadził ją wzdłuż nabrzeża i zarzucił linę na wielki pachoł na skraju perma-betonowej płyty. Jeśli będą musieli szybko uciekać ze statku, pojawi się problem. Skirata z trudem wygramolił się z łodzi. Czasem bardzo wyraźnie odczuwał różnicę wieku między nim i jego chłopcami.

– Myślę, że trzeba iść tam... – Mereel wskazał duży właz w ścianie i zaczął rozglądać się za kontrolkami, które okazały się ukryte za hermetyczną płytą. Podważył ją, podczas gdy Skirata stał w pogotowiu, aby odeprzeć ewentualny atak.

- Gotów?
- Gotów, synu.
- Puk, puk...

Mereel pchnął przerywacz obwodu w panelu sterowania. Właz stał przed nimi otworem. Skirata, z pistoletami w obu dłoniach, wpatrywał się w wizjer. Stwierdził, że widzi kolejny tunel, na jego ścianach biegły rury: na końcu tunel się rozwidłał. Ruszył przed siebie, za nim Mereel. Osłaniali się nawzajem. Dotarli do końca tunelu.

Lewa odnoga wydawała się bardziej obiecująca. Podłoga wyglądała, jakby po niej chodzono, na końcu były drzwi. Przeszli przez coś, co wyglądało jak zapora przeciwpowodziowa.

– Założę się, że straż pożarna Dorumaa nie ma schematów tego miejsca – mruknął Skirata.

Mereel stęknął.

– W takich chwilach doceniasz pomoc Bard’ika. On zaraz wy-kombinowałby cały schemat i otworzył włazy Mocą.

– Nie mówiłem nigdy, że Jedi się nie przydają – Skirata podszedł do drzwi, wsuwając verpine za pas. – Masz pod ręką granat EMP?

– Jeśli to miejsce ma elektroniczne zabezpieczenia, wołałbym użyć siły.

– Zgoda.

– Trudno chyba mieć na karku połowę najgorszych wrogów w galaktyce.

Komunikator w hełmie Skiraty zamilkł. Vau był poza zasięgiem.

– Otwórz drzwi, synu.

– Jeśli weszliśmy do niewłaściwego mieszkania, powiemy grzecznie przepraszam i spadamy, prawda?

– Tak, pomyliliśmy drzwi... jasne...

– Kostka w porządku?

– Bywało gorzej.

– Więc wchodzimy, dwa... jeden...

Jaksrawe światło i lśniące białe ściany wydawały się znajome, nie pomylili adresu. To był szyk z Tipoca. Za ich plecami przegrody łomotnęły o podłogę, rozległo się wycie, które jednak nie brzmiało dość nagłaco, aby być alarmem.

Nagle zapadła cisza, która jednak nie wydawała się... cicha. Skirata czuł czyjąś obecność, odpowiedział mu to zwierzęcy zmysł, który sprawił, że włoski na karku mu się zjeżyły. Nie potrzebował czujników HUD, aby stwierdzić, że po drugiej stronie znajdują się ludzie. Dwóch przyciśniętych do lewej ściany, jeden do prawej, z podniesionymi karabinami i nakładającymi się polami rażenia.

Shab.

Jeśli obaj zginą na miejscu, Vau będzie czekał, Ordo jest niedaleko, więc Ko Sai i tak się nie wymknie. Skiracie zaschło w gardle. Dotknął karabinka i namacał granat aerozolowy.

Mamy verpy, pociski... Nic, co mogłoby zostać zatrzymane przez RGA.

W ciasnej przestrzeni to będzie bezpośrednie starcie. Mereel skinął głową w kierunku przewężenia i wyjął grant detonitowy.

– Może trzeba będzie odpalić... – rzekł do komunikatora. Zamierzał zdetonować granat, zanim ten uderzy w ziemię. – Trzymaj swoje buy-ce, Kal'buir.

Skirata pogodził się już z tym, że nie skończy się tylko na paru siniakach, kiedy granat wybuchnie.

Odpalenie było ryzykowne, ale on i Mereel mieli broje beskar, więc mogli zaryzykować. Zerowi rzucili się na przeciwną ścianę. Najlżej ranni przeżyją.

– Na trzy. Jeden, dwa...

Skirata szarpnął zbiornik RGA. Granat ożył z głośnym trzaskiem, zasnuwając mgłą powietrze dokładnie w tej samej chwili, kiedy niebieskie promienie przecięły je pod różnymi kątami. Skirata dostał w pierś, ale tylko odrzuciło go w tył o krok, jak pijaka w kantynie, który nie umie porządnie przyłożyć. Zaczął strzelać, aby osłonić Mereela przez kilka kolejnych sekund. Verpińskie naboje roztrzaskiwały płytki na ścianach.

Będą musieli się ruszyć.

– Kryć się! – Mereel rzucił się w przód i cisnął granat. – Padnij!

Skirata upadł. Poczul szarpnięcie w kolanie i smak krwi w ustach, ale natychmiast wstał. Zderzył się z Mereelem, kiedy obaj rzucili się w mgłę RGA. Potknął się o coś – ranny, trup? – ale nie opuszczał verpa. W tym momencie w wizjerze zobaczył zarys...

Shab. Mają tu Mando, takich jak my.

Wystrzelił z bliskiej odległości. Mereel zalał ogniem postać, która w HUD Skiraty była jedynie cieniem. Skirata słyszał wyraźnie stuk dwóch nabojów uderzających o metal. Mandalorianin, który zablokował mu drogę – fierfek, to vode, to nasi – zachwiał się. Zwarli się. Napierśniki z beskaru wydawał odgłos jak żaden inny metal, głuchy, ciężki, solidny, o wysokich, blaszanych częstotliwościach jak durastal. Skirata dostał cios w szczękę. Nóż wypadł mu z obudowy wprost w dłoń. Skierował go w jedyne wrażliwe miejsce w całej zbroy beskar'gam.

Walczyli w milczeniu. Krew była wszędzie, ale wiedział, że nie jest to jego krew i nic więcej go na razie nie obchodziło. Mężczyzna chwycił Skiratę za rękę, ale ten wycelował nerpa i strzelił z bliskiej odległości.

Skirata był pewien, że już nigdy nie zapomni tego dźwięku. Mężczyzna upadł. Skirata szarpał nóż, usiłując go uwolnić, ale zastanawiał się, czemu wciąż słyszy w głośnikach gulgotanie i dyszenie, kiedy nagle zapadła cisza, a po niej głuchy łoskot.

– Kal'buir! Czy wszystko w porządku? – wydyszał Mereel. – Trzech zabitych. Droga wolna.

Strzały z miotaczy ucichły, ale Skirata wciąż słyszał je jak stłumione echo. Mereel chwycił go za ramię.

– Shab – warknął Skirata. Ulga, że to nie on jest martwy, ustąpiła miejsca wściekłości. Wyregulował czujniki HUD. Żadnego ruchu. – No to chyba wszyscy.

Na podłodze leżały trzy ciała w mandaloriańskich zbrojach. Jeden został zabity przez niego, jeden przez Mereela, a trzeciego musiał zabić wybuch. Gdzie jest Ko Sai?

– Nie widzę żadnego ruchu.

– Dobra, Mer'ika, teraz jedne drzwi po drugich. Ona tu na pewno jest.

– Jestem pewien, że to miejsce się zamyka, kiedy włączy się alarm – odparł Mereel, próbując pierwszych drzwi. Wyjął czujnik i sprawdzał, czy nie ma obwodów alarmowych, podczas gdy Skirata nasłuchiwał jakichś oznak życia.

Może powinien wrzasnąć do Ko Sai, żeby wyszła i stawiła im czoło. Musi przecież wiedzieć, że tu są. Trudno nie zauważyć strzelaniny pomiędzy Mando'ade, nawet jeśli akurat robisz sobie filizankę kafu.

To naprawdę było laboratorium!

Przypominało Skiracie Tipoca City: białe ściany i sterylne czyste podłogi, drzwi z hermetycznymi uszczelkami, świątynia porządku i doskonałości, pogarda dla życia. W hełmie nie wyczuwał zapachów, ale wiedział, że jeśli go zdejmie, jego nozdrza wypełnią się lekko łaskoczącym zapachem płynów odkażających.

– Drzwi są na dwóch obwodach, Kal'buir – rzekł Mereel. – Przepalę po jednym. Oznacza to, że wszystkie drzwi otworzą się równocześnie.

– Będzie mogła uciec – rzekł Skirata. – Albo zaczekać, aż ją wywlecemy.

Nie miała dokąd uciec. Mereel wskazał panel zabezpieczeń.

– Generator awaryjny – rzekł, stukając w niego palcem. – Po prawej stronie to maszynownia. Jedyne takie urządzenie.

– Więc nie ma tutaj armii.

– Pewnie tylko strażników na trzy zmiany. Im więcej ludzi, tym więcej musi sprowadzać zapasów. Możemy jednak sprawdzić wszystkie pomieszczenia.

– Uważasz, że niedługo zjawi się druga zmiana?

– Lepiej doładuj.

– Znajdźmy tę shabuir i wywlecmy za łeb.

– Muszę jeszcze skopiować dane.

Porwanie kogoś z ulicy było podstawową umiejętnością każdego łowcy nagród. Porwanie naukowca i kradzież wszystkich badań – wszystko, nie pozostawiając nic, co mogłoby wpaść w niepowołane ręce – było znacznie trudniejszym zadaniem, jeśli człowiek się spieszył.

Bard'ika, może uda ci się przekonać Deltę, żeby poszli na dobrą kolację, może jeszcze zabierz ich do holowidu.

– Dziesięć drzwi po każdej stronie, Kal'buir.

Cały korytarz był jednym wielkim wodoszczelnym zbiornikiem z wewnętrznymi grodziami, więc jeśli mają trochę szczęścia, było tylko jedno wyjście.

Skirata zdjął hełm i odetchnął głęboko. Zawsze twierdził, że umie wywęszyć Kaminoan, ale to, co poczuł teraz, zgalwanizowało go niemal tak samo – to miejsce naprawdę śmierdziało jak laboratorium w Tipoca City. Wspomnienie wywołały fale nienawiści. Złapał drugi oddech.

– Strzelamy, Mer'ika. W ciemno.

Mereel wbił przerywacz w panel. Światła zamigotały i dziesięć par drzwi otworzyły się z szelestem. Skirata nigdy nie widział Kaminoanina z miotaczem, ale nie posądzał Ko Sai, że nie umie go używać. Podchodził ostrożnie do każdych drzwi i błyskawicznie wpadał do środka z wymierzonym miotaczem. Były tam banki konserwatorów, szczelne skrzynie z transparistali ze zdalnymi panelami operatorskimi, puste zbiorniki – nie wiedział, jak by zareagował, gdyby było w nich coś żywego – oraz jeden pokój wyglądający na magazyn części komputerowych, całe półki. Genetyka wymagała przetwarzania mnóstwa danych.

– Wiem, że tam jesteś, ty sadystyczna shabuir – wrzasnął Skirata. Zaryzykował i nie włożył hełmu. Chciał, aby widziała jego twarz, jego nienawiść, obietnicę zemsty i jej zrealizowanie. – Wyjdiesz czy nie? A może będę miał przyjemność cię wywlec za łysy łeb? Nie jestem miłym facetem, nie mięknę z wiekiem.

Mereel otworzył kieszeń przy pasie jedną ręką, wyjmując przenośne dyski, gotów skopiować wszystkie dane Ko Sai do ostatniego arkusza kalkulacyjnego i listy sprawunków. – Powiedz to słowo, Kal'buir.

– Otwórz włazy.

Ostatnie dziesięć drzwi wydało cichy szcęk. Skirata nałożył na palce lewej rękawicy kastety. Powoli podszedł do kolejnego

szeregu drzwi, z miotaczem gotowym do strzału, pewny, że wystrzeli pierwszy. Zabijaniem zarabiał na życie.

Ona też, na swój sposób.

Podszedł do piątych drzwi i zajrzał.

Ko Sai nie miała broni. Siedziała przy biurku, czyściutkim, białym biurku, jak w Tipoca City, i spoglądała na niego tymi swoimi niepokojącymi, szarymi oczami. Wciąż miała grube czarne mankiety świadczące o jej stanowisku szefa programu klonowania, choć porzuciła Kamino i zostawiła rząd na lodzie.

Było coś odrażającego w osobie, która nosi oznaki stanowiska, jakie już jej się nie należą, zwłaszcza, odkąd pracuje sama. Jej status był dla niej całym życiem.

– A ciebie kto tu przysłał? – zapytała. – Lama Su? Sooku? Czy to żalosne stworzenie Palpatine.

– Miło być najpopularniejszą laską w szkole – rzekł Skirata. Zawsze najpierw strzelał, a później obrażał trupa, ale jej nie mógł zabić, jeszcze nie. Miała robotę do wykonania. – Czy mogę wybrać „żadne z powyższych”?

– Więc kredyty – odparła. Nie było w Kaminoanach nic, co mogłoby się spodobać Skiracie. Tam, gdzie inni słyszeli melodyjne głosy, on słyszał pogardę i arogancję. – Ile chcesz, żeby sobie pójść?

Skirata nie mógł uwierzyć, że go nie pamięta. Był dla niej tylko kawałkiem ludzkiego mięsa. Może rzeczywiście nie odróżniała go od Vau czy Gilamara albo tych Mandalorian, którzy leżeli martwi na jej lśniącej podłodze.

– Potrzebne mi są wyniki twoich badań, proszę.

– Och, Arkaniańskie Micro. Naturalnie.

– Skończ ten osik. Wiesz dobrze, kim jestem

– Przez chwilę sądziłam, że jesteś jednym z łotrów Palpatine’a. Wszyscy najmują Mandalorian. Jesteście tacy tani, tak łatwo was kupić.

Skirata chciał zobaczyć szok na jej twarzy, a przynajmniej nienawiść. Był rozczarowany. Nie. Był wściekły. Skinął na Mereela.

– Kubeł z głowy, synu. Powiedz dzień dobry miłej pani.

Mereel zawahał się na moment, ale kiedy zdjął hełm, uśmiechał się tym cudownym, niewymuszonym uśmiechem, który sprawiał, że wyglądał jak nieszkodliwy chłopczyk, który nie miał zielonego pojęcia o tych narzędziach śmierci, którymi był obwieszony. Podszedł i oparł się o framugę drzwi.

Skirata zobaczył, jak jej źrenice się rozszerzają.

O tak, teraz wspomnienia wracają falą. Może wszyscy pograżamy się w nostalgii, co?

Mereel pamiętał, ponieważ miał doskonałą pamięć. Pamiętał wszystko od niemowlęstwa, zanim jeszcze poznał go Skirata.

Nie drgnął ani jeden mięsień twarzy Mereela. Wyjął zza pasa krótki pręt, elektrycznego pastucha, którego farmerzy używali do zaganiania nerfów.

– Hej, mamuśka – rzekł. – Twój synek wrócił.

Biuro Urzędu Skarbowego, Coruscant, 478 dni po Geonosis.

Ścieżki audytowe były tkaniną, z której utkane było życie Besany Wennen. Były jak prawa fizyki: żadnej transakcji bez innej transakcji. Ktoś wydawał kredyty, a ktoś inny je dostawał. A kiedy ktoś przelał w projekt dużą kwotę pieniędzy, nie robił tego sam.

Nie było monopolu na informacje. Jeśli coś istniało, ktoś to coś zaprojektował, wyprodukował, dostarczył. Przy odpowiedniej ilości czasu i wysiłku, tego kogoś zawsze można było odnaleźć.

Besany przeszła do biura Jilki Zan Zentis tak swobodnym krokiem, jak potrafiła i przysiadła na niskiej szafce.

– Muszę cię poprosić o dużą przysługę – zaczęła. – Możesz powiedzieć nie.

Jilka powoli uniosła głowę.

– Jeśli mam cię zastąpić na randce, pamiętam, że ostatnio...

Besany pomyślała przez chwilę o Fi.

– W sumie nie, ale to by przypieczętowało sprawę. Mogę cię poznać z bardzo miłym chłopakiem.

– Pomyślę o tym. – A co z przysługą?

– Muszę się dowiedzieć czegoś o firmie Dhannut Logistics. Wpadli mi w oko, ale nie mogę się zorientować, gdzie się mieszczą, choć są zatwierdzonym wykonawcą Republiki.

– O, bo chyba nie wiesz, gdzie szukać, kochanie – Jilka uwielbiała wyzwania. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wykonywałby jej pracy, jeśli polowanie na korporacyjnych oszustów podatkowych nie sprawiałoby mu prawdziwej przyjemności, podobnie jak związane z tym ryzyko. – Jeśli kradną nasze kredyty, wyciśniemy z nich podatek korporacyjny. A jeśli nie, to z przyjemnością

wprowadzę ich w rozkosze wypełniania formularza dwa-kreska-dziewięć-siedem-alfa-osiem-alfa.

– Dhannut Logistics – przypomniała Besany. – De, ha, a, dwa n, u, t. Prawdopodobnie produkują instalacje medyczne.

– Ileż to zdołali przelać w swoje sejfy z kieszeni podatnika?

– Wydaje mi się, że około pięćdziesięciu miliardów.

Oczy Jilki zapłonęły. Może Fi się spodoba.

– To tylko drobiażdżek z progu przychodu podlegającego opodatkowaniu, prawda? Zobaczmy, co znajdziemy.

Besany potrzebowała jedynie wskazówki. Nie chciała, żeby Jilka kopała zbyt głęboko, ponieważ im mniej ludzi wiedziało, tym lepiej. Jilka jednak już ruszyła z kopyta, przerzucając zapisy i zaglądając nawet na inne ekrany.

– Masz rację – rzekła z lekkim rozczarowaniem. – Żadnego adresu ulicy. Ale zapłacili cały podatek, a mam tu nawet dane ich księgowego. Dziwne.

– Czemu?

– Nie powinnaś mieć możliwości wypełnienia rubryki zwrotu podatku bez podania adresu siedziby, a jednak, jakimś cudem, system to przepuścił.

– W sumie nie dziwi mnie to.

– Mówisz, urządzenia medyczne?

– Instalacje. Podejrzewam budowę albo specjalistyczne wyposażenie. Może nawet nie mieszczą się na Potrójnym Zerze.

– Potrójnym czym?

– Przepraszam, slang floty. Tu, na Coruscant.

– O, na pewno mają tu siedzibę. Inaczej nie wypełnialiby formularzy w Galaktycznym Mieście. Mają kod GCCC.

– Możesz mi dać adres księgowego?

Jilka zapisała coś na skrawku flimsi.

– Ale nie masz go ode mnie. Nie przeszedł przez system komunikatów. I nigdy wcześniej w życiu cię nie widziałam.

– Jeśli coś jeszcze wyjdzie... Dhannut, ktokolwiek robiący z nimi interesy... dasz mi znać?

– Jasne. Teraz mnie zaintrygowałaś. Co cię zaniepokoiło? Oszustwo?

– Myślę, że to przykrywka dla innej działalności. Ponieważ nie mam ich danych w bazie zatwierdzonych wykonawców dla Republiki. A to też nie powinno być możliwe.

– Coś mi tu śmierdzi. Widzę, że nosisz ze sobą miotacz. Całkiem rozsądnie.

– Pomyśl tylko. Dhannut pojawia się w dwóch bazach danych, do których nie powinien był trafić. Jeśli nie jest legalny, a nie włamał się do naszego systemu, ktoś z rządowym dostępem mu na to pozwolił.

– W dzisiejszych czasach trudno o uczciwych pracowników.

– A ludzie myślą, że my po całych dniach przerzucamy pliki.

– Więc dostanę tego miłego chłopca? Smakowity jest?

– Z pewnością bardzo wysportowany i nie stracisz apetytu, patrząc na niego.

– Zgoda.

– Zagadnę go przy następnej okazji.

– Jeśli jest taki super, czemu sama nie jesteś zainteresowana?

– Już mam jednego.

– Ach. Aha.

– Nie wybrzydź, dopóki nie spróbujesz.

Jilka posmutniała. Spowazniała.

– Zmieniłaś się, Bes. I nie chodzi mi o to, że nagle wyglądasz na zakochaną.

Besany uśmiechnęła się, nieco chłodno. Zwykle rezerwowała ten uśmiech dla podejrzanych, dopóki nie zebrała dość obciążających dowodów, ale wiedziała, że to tylko kwestia czasu. – Dzięki, Jilka. Mam u ciebie dług.

Postanowiła wyjść trochę wcześniej i odwiedzić biuro księgowego Dhannut po drodze do domu. Nie prowadziła teraz żadnego śledztwa, zbierała tylko raporty roczne z komisji senackiej, a uwaga szefów była w tej chwili ostatnią rzeczą, jaka byłaby jej potrzebna.

I tak zrobiła dużo więcej, niż prosił ją Mereel.

Kwadrant T-15 był daleko poza jej terenem. Spojrzała na flimsi, wybierając krętą drogę – kilka zmian taksówki, spacer między jedną a drugą, żeby zatrzeć ślady – i próbowała zapomnieć o tym, dopóki nie przyszedł czas, żeby wyjść, ale kiedy coś ją gryzło, trudno jej było zapomnieć. Właśnie ten ślepy upór sprawiał, że była tak dobra w swojej pracy. Ale też nie mogła przez to spać.

Jej problem polegał na tym, że rzucała się w oczy. Ludzie ją pamiętali – była wysoka, jasnowłosa, piękna. Czasem w śledztwie była to zaleta, ponieważ ludzie nie doceniali jej inteligencji, ale utrudniała tajne operacje. Musiała nieco zbrzydnąć.

Skirata nazywał to „zszarzeniem”. Miał dar zachowywania się i ubierania tak, że mógł przejść niezauważony, nie ściągając na siebie uwagi. Jednak jeśli chciał, umiał zatrzymać ruch. Śmieszny mały człowieczek, ale Ordo go czcił. Z pewnością miał charyzmę.

Przeszła przez kładki, które łączyły dzielnicę cateringową od jednej ze stref detalicznych. Teraz, kiedy tu mieszkała, wydawały się prawie identyczne. Starła się rozglądać i trzymać z dala od kłopotów.

Biuro Kanclerza. No cóż, jeśli sprawy zaszły tak wysoko...

Nie, to idiotyzm. Nigdy wcześniej nie była onieśmielona. Teraz też sobie na to nie pozwoli. Jeszcze jeden przeskok do innej takśówki i dziesięciominutowy spacer doprowadziły ją do kwadrantu T-15. Myślała, że znalazła drogę, ale nagle zorientowała się, że to nie może być tu: znajdowała się w długim ciągu fabryk tekstylnych, a nie biur. Szła dalej, numery stawały się coraz wyższe, więc obrała zły kierunek. Zawróciła.

Wciąż nie wyglądało to dobrze.

Wrzuciła adres do notatnika, żeby sprawdzić współrzędne, ale urządzenie było uparte – zdecydowanie jest we właściwym miejscu. Przeszła przez całą długość budynku, po obu stronach i stanęła przed blokiem 7860, który powinien być biurowcem, a najwyraźniej był przędzalnią. Niektóre drzwi były otwarte – widziała w środku maszyny i kręcących się robotników.

Nieistniejący księgowy. Nieistniejąca firma. Prawdziwe kredyty. Co się tu dzieje?

Cokolwiek się działo, było z całą pewnością nielegalne, choć nie miała pojęcia, czy to coś poważnego, czy nie. Przepisy mówiły, że powinna to natychmiast zgłosić, ale nie mogła. Nie teraz. Nie wiedziała nawet, czy powiedzieć Jilce, bo taka wiedza mogła ją narazić na niebezpieczeństwo.

Trzymając dłoń na miotaczu schowanym głęboko w kieszeni, wróciła do mieszkania. Kiedy włożyła identyfikator w zamek, a drzwi zamknęły się za nią, poczuła, że może odetchnąć.

Spojrzała na chronometr – późno, bardzo późno, za późno, żeby zjeść, bo inaczej nie uśnie. Mamrocząc pod nosem, naląła sobie soku i zaczęła przeglądać nagłówki holowiadomości, nie czytając ich, lecz sprawy wojny znajdowały się w menu daleko poza życiem miłosnym gasnących gwiazd i bójek w knajpach z udziałem

graczy gravballu. Jeden z poważniejszych kanałów wiadomości przedstawiał analityka obrony z Republikańskiego Instytutu Badań Pokoju, który wypowiadał się o zagrożeniu, jakie stanowią separatystyczne roboty, ale wydawało się, że ludzie starają się unikać przygnębiających informacji. Coraz trudniej też było znaleźć jakiegokolwiek wieści z frontu. Dla Coruscant biznes to biznes, kogo obchodzą walki na Rubieżach? Żołnierz Corr nie zgadzał się z nią i wciąż twierdził, że lepiej mu bez holokamery zaglądającej przez ramię, ale ją to obchodziło. Chciała wiedzieć wszystko o wojnie. Wydawało się jej, że ta wiedza da jej moc ochrony Orda i jego braci przed zagrożeniami. Nieobejrzenie informacji było dla niej jak dezercja z pola walki.

– Idiota – mruknęła do ekranu. Analityk rzucał liczbami, ogromnymi liczbami, a ponieważ sama pracowała z liczbami, machinalnie sięgnęła po stylus i zapisała kilka z nich na notatniku. Założę się, że nie wiesz nawet, ile zer jest w kwintylionie.

Ona jednak wiedziała i cyfry nieco ją uspokoiły, więc zaczęła rozważać argumenty analityka. Potem zaczęła zastanawiać się, ile metalu potrzeba na wyprodukowanie jednego robota bojowego – czterdzieści kilo, co najmniej – i pomnożyła to przez kwintylion z czystej ciekawości. Potem zaczęła się zastanawiać, skąd bierze się cały ten metal, jeśli dziewięćdziesiąt procent średniej skalistej planety to krzem, a pozostałe dziesięć procent to niekoniecznie właściwy rodzaj metalu, a poza tym, czy można go wydobywać. Wydobywanie i przetwarzanie to znowu kolejne środki...

Nie, kwintyliony robotów to raczej niewykonalne. Była to jednak piękna, duża, nie do udowodnienia liczba, rzucona na postrach ludzi. Usiadła i zaczęła przyglądać się kolejnym liczbom analityka, kiedy usłyszała drapanie. Podskoczyła.

Jej apartament znajdował się na pięćsetnym piętrze, opancerzone szczury nie docierały tak wysoko. Rozejrzała się, zorientowała, że zostawiła miotacz na stole i podążyła wzrokiem za transparentalowe drzwi balkonowe. I tam go zobaczyła – salky, udomowiona wersja psa z Kath, popularny w wyższych sferach Coruscant, ponieważ nie liniał i nie wymagał częstego wyprowadzania. Zwierzę przyglądało jej się, prosząco przekrzywiając łeb na bok i znów położyło łapę na szkle w niemej prośbie, aby go wpuścić.

Musiał przeskoczyć z sąsiedniego balkonu. Ludzie nie umieją dbać o swoje zwierzaki. Besany zacmokała głośno i otworzyła

drzwi tylko na tyle, aby pogadać do niego, nie wpuszczając go. Wsadził pysk w szczelinę, skamłąc i usiłując polizać ją po ręce.

– Au, skarbie, skąd się tu wzięłeś? – Salky miały gęstą grzywę, która pokrywała ich łby od oczu po łopatki i wyglądały o wiele ładniej niż drapieżniki, od których się wywodziły. – Czy ktoś głupi pozostawił otwarte drzwi? Gdzie masz obroź? – zaryzykowała, macając w jego grzywie, aby znaleźć plakietkę identyfikacyjną. Te stworzenia były kosztowne, więc na pewno ją miał. – Musi cię ktoś stąd zabrać, kochanie. Nie ruszaj się tylko...

– A co to? – odezwał się salky głębokim, męskim głosem. – Czy w waszym budynku nie wolno trzymać zwierząt, czy co? Wpuść mnie, zanim ktokolwiek nas zauważy.

Besany krzyknęła i odskoczyła, zaskoczona. Zanim jeszcze zdążyła spanikować, że ma halucynacje, salky zmienił się w gładką, bezkształtną masę i przeciekł przez szczelinę jak stopiony metal, zanim znów zmienił kolor. Teraz Besany spoglądała na kałużę czarnego, lśniącego materiału, który rozpląnął się w czworonożne, zębate stworzenie wyglądające jak śnieżna pantera.

– Fierfek – rzekła, a nie było to słowo, którego używała często. – To ty.

Gurlanin zmruży lśniące pomarańczowe oczy i podszedł do sofy.

– Nie jestem Jinaet, ale podejrzewam, że wszyscy dla ciebie wyglądamy tak samo. Czy mogę siadać na meblach?

– Słuchaj, ja...

– Nie przejmuj się imieniem – zaczął węszyć w pokoju, jakby czegoś szukał. – Ludzie dotrzymali swojej strony umowy. Ostatni człowiek opuścił Qiilurę. Więc jako gest dobrej woli na do widzenia dla tych uroczych żołnierzyków, mam dla ciebie pewne informacje.

Gurlaninowie powiadali, że mogą być wszędzie i nikt się nie zorientuje. Już miała go zapytać, czy nie myśli o karierze audytora skarbowego, ale pomyślała z przerażeniem, że Gurlanin mógłby pracować z nią, albo mijając ją na ulicy w dowolnym momencie. Co byś powiedziała na zmiennokształtnego szpiega? – To bardzo miłe.

– Po pierwsze, pamiętaj, żebyś zawsze miała przy sobie miotacz, ponieważ twoje spotkanie z senatorem Skeenahem zostało zauważone, a teraz jesteś przez cały czas pod obserwacją wywiadu i nie mam tu na myśli ludzi sierżanta Skiraty. Mam na myśli

najwyższe sfery rządowe. – Weisnął pysk do kuchni zaczął węszyć. – Po drugie, Dhannut Logistics nie znajdziesz, bo nie istnieją, To przykrywka. Dobrze się sprawiłaś, znajdując powiązanie z Centaksem Dwa, ale jeśli będziesz się tak nadal miotać, w końcu cię złapią, zaoszczędzę ci zatem trochę czasu. Tak, w tej chwili klony produkowane są w instalacjach poza Kamino, niektóre tu, niektóre na Centax, i to dużo. Nie, dowództwo Wielkiej Armii nie zostało powiadomione, ponieważ ci generałowie Jedi chcieliby nowych ludzi natychmiast, ale ich nie dostaną. Możesz to przekazać swoim kontaktom.

Besany nie wiedziała, że się miota. Była przerażona.

– A dlaczego mam ci wierzyć?

– Ponieważ Qiilura ma delikatną ekologię, a wiemy, że Skirata jest mściwą, wredną zarazą która może naprawdę przekonać flotę, aby spalić nas na żużel. Chcemy, żeby zostawiono nas w spokoju. Samych. Naprawdę samych.

– Rozumiem,

– Zostaniemy tutaj, na wszelki wypadek – mówił Gurlanin. – Nie zauważycie tego nawet.

– Dobrze, ale czy mogę zapytać...

– Nie.

– Ale tylko....

– Powiedziałem nie. I niech cię nie kusi kopać dalej, ponieważ nie masz pojęcia, z czym masz do czynienia. – Gurlanin przysiadł na zadzie. Wydawało się, że wrzusza ramionami, jego mięśnie falowały. Zorientowała się, że znów zmienia kształty. – Sprawy zawsze mogą potoczyć się jeszcze gorzej.

– Czy ja się naprawdę miotałam?

– Prawdę mówiąc, poradziłaś sobie wyjątkowo dobrze – jak na człowieka. Ale to nie wystarczy. A wydarzenia mogą przybrać niebezpieczny obrót nawet dla nas.

Zamilkł, nie wyjaśniając, co ma na myśli i stał się bezkształtną masą, zanim znów się przekształcił – trudno to inaczej nazwać – w człowieka, wyprostowanego i całkiem znajomego.

Gurlanie byli doskonałymi mimikami. Widziała już, jak jeden z nich udawał urzędnika, z którym pracowała, i nigdy by się nie domyśliła. Mogli udawać wszystko i wszystkich.

Wydaje się, że również żołnierzy klonów. Besany spoglądała na mężczyznę w białej zbroi, który mógł być Ordem, ale nie zachowywał

się jak on i nie miał hełmu. Replika uśmiechnęła się do niej chłodno, aż żołądek jej podszedł do gardła.

– Wyjdę frontowymi drzwiami – rzekł. – Chyba ludzie wiedzą już o Ordzie, prawda?

Przez długą chwilę po jego odejściu Besany nie mogła usiąść na sofie, ani użyć odświeżacza, ponieważ nie wiedziała już, co jest realne, a co nie. Krążyła bez celu po mieszkaniu, zastanawiając się, co może swobodnie robić i mówić nawet we własnym domu. Miała jednak bezpieczny komunikator, musiała komuś zaufać. Komukolwiek.

Wpisała kod Orda i próbowała nie myśleć o Gurlaninie, który mógłby zmienić się w niego tak szybko, tak łatwo i tak przekonująco.

Obrzeża Eyat, Gaftikar, 478 dni po Geonosis.

Niebiesko oświetlone kształty zbliżyły się do nich w ciemności. Darman sprawdził czas w swoim HUD-zie.

– Światła, vode – powiedział Niner i niebieskie światła zniknęły. Oddział Omega był teraz niewidzialny w podczerwieni i dla skanów elektromagnetycznych oraz prawie niewidoczny gołym okiem, choć wciąż łatwiej było ich zobaczyć, niż wykryć czujnikami. – Torrenty z południa, czas do celu: osiem minut standardowych.

– Przechodzę na zdalne – zameldował Atin. – We wschodniej stronie miasta coś się dzieje. Czy Leveler ma już jakieś skany wysokościowe?

Na wyświetlaczu HUD-a Darmana było mnóstwo ikon obrazów ze zdalnych czujników, które wysłali wcześniej, aby obserwowały rozmieszczenie ruchomych dział przeciwlotniczych, obrazy każdego z jego braci – Fi podskakiwał, zdradzając, że pochłonęła go muzyka glimmik – oraz spakowane informacje z Levelera – obraz pola widzenia pilota torrenta, lecącego nisko nad polami.

Darman nie lubił mieć dużo czasu na myślenie, zwłaszcza teraz. Wciąż widział tę restaurację i minimarket. A'den powiedział mu, że za bardzo stara się dopasować się do świata cywilów, niepotrzebnie zastanawia się, kim w tym świecie mógłby być i że szybko się to skończy, bo będzie musiał martwić się o własną shebs. Miał taką nadzieję.

Niner otworzył kanał do Levelera.

– Leveler, tu Omega, czy macie już jakieś skany w czasie rzeczywistym?

– Omega, mamy, próbujemy tylko zidentyfikować kwatere główną obrony cywilnej i stację łączności.

– Leveler, widzimy działka przeciwlotnicze. Ostrzeż torrenty.

– Omega, czy możesz potwierdzić, że ta zaznaczona współrzędna to stacja łączności?

– Leveler, potwierdzam, ale czy to nasz cel?

– Omega, tylko dla sił naziemnych. My celujemy w satelitę przekąźnikowego z orbity.

Niner zaklął.

– Leveler, chcemy łączność głosową z torrentami. Proszę podać częstotliwości.

Nie powinno się tak robić, ponieważ oznaczało to denerwujący szum wielu głosów, ale Niner zawsze chciał mieć możliwość podjęcia osobiście decyzji o odwołaniu ataku. Leveler milczał.

– Mam nadzieję, że właśnie pyta Pilliona, czy jak on się tam nazywa, o zezwolenie – rzucił Fi. – Sześć minut do celu.

Atin prychnął.

– Dwie jednostki potrójnych A nadlatują, powinniście mieć nowe współrzędne. Możecie potwierdzić, że je zidentyfikowaliście?

– Omega, potwierdzam.

– Leveler, zidentyfikuję kanał torrenta...

– Omega, proszę unikać bezpośrednich rozmów z powodu ryzyka sprzecznych rozkazów. Czekajcie na raport.

Niner, na częstotliwości, którą słyszał tylko jego oddział, warknął:

– Jak sobie namalujesz, di'kut. Jeśli się zaloguję, nie możesz mnie odciać. – Znów połączył się ze statkiem. – Leveler, rozumiem. Omega się wyłącza.

– Mir'osik – mruknął Fi. – To my jesteśmy na ziemi.

Niner sprawdził swojego Dece.

– Musimy kiedyś ich nauczyć szacunku do sił specjalnych.

– Etain uważa, że komandor Leved to dobry vod – rzekł Darman. – Ale i tak czułbym się lepiej, gdybym mógł przerwać i pokazać im, że uderzają w niewłaściwy cel. Czasem w centrach łączności robi się gorąco.

– Głowy do góry, nadchodzą. – Głos A'dena wbił się w ich obwody.

Zerowi byli mniej więcej tysiąc metrów na wschód od nich, z grupą Maritów, którzy sprowadzili imponującą liczbę działek i artylerii oraz tysiące żołnierzy. Kiedy Darman uzyskał na wizjerze maksymalną czułość, zobaczył, że teren wyglądał jak falujące morze. To tysiące jaszczurów szykowało się do ataku na miasto. Martwił się tym. Nie znał tam nikogo, nie obchodziło go nawet, co jest słuszne w tym dziwnym sporze na planecie. Lecz, że brał w tym udział, dziwnie mu nie pasowało. Po raz pierwszy czuł to aż tak wyraźnie.

Słyszał już kanonierki LAAT/i, larty, cudownie krzepiący łomot, który oznaczał możliwość ewakuacji z planety, wsparcie z powietrza i przyjazne twarze.

– To jak użycie detonatorów termicznych na owady – mruknął Fi. – Może trafią kilka torrentów, jeśli będą mieli szczęście.

– Razdko mamy taką przewagę, ner vod – stwierdził Niner. – Ciesz się nią, póki możesz.

Larty zostały zagłuszone przez wycie napędów, równie znajomy hałas, jaki robiły myśliwce V-19 Torrent, gdy przelatywały nad ich głowami. Sekundę później kula ognia wzniosła się w nocne niebo i rozgorzała bitwa.

Darman poczuł się dziwnie, nie ruszając się z miejsca, podczas gdy inni ruszyli naprzód. Omega zwykli uderzać pierwsi, osłabiając obronę, sabotując, przygotowując pole bitwy. Frontowa kontrola z powietrza – jeśli istotnie wypełniają tę rolę, skoro Leveler jest na orbicie – to coś, co może zrobić nawet robot – obserwacja, potwierdzanie, przekazywanie dokładnych współrzędnych i danych. Nie potrzebowali tak skąpych zasobów, jakim są oddziały komandosów.

Darman zaczął się wiercić. O pięćdziesiąt metrów na zachód wylądował lart, wylądowując 35. Oddział Piechoty.

– Chcecie się przejechać? – zapytał sierżant – Zabezpieczamy centrum HoloNetu. Nie chcemy go zniszczyć, zanim nie zdołamy wysłać tych wszystkich krzepiących wiadomości, prawda?

– Kiedyś mieliśmy rozkaz operacyjny – zadrwił Niner – ale chyba któryś z oficerów go zgubił. Shab, czemu nie, tu tylko siedzimy i się gapimy – otworzył łącze do Levelera – Leveler, Omega żąda potwierdzenia, że chcecie, abyśmy zajęli centrum HoloNetu.

Oficer łącznościowy na linii nie miał głosu klona. Wydawał się jednak bardzo zdenerwowany.

– Omega, potwierdzam.

Niner pobiegł za sierżantem trzydziestki piątki. Skaner Darmana pokazywał go jako Tela.

– Nie mówi dużo.

– Bo nie umie – odparł Tal. – Mamy tu teraz takich oficerów buraków, na fiefeka, a ten tylko dlatego trafił do Akademii, że jego tatuś jest jakimś kapitanem. Gdyby umiał czytać mapy, byłby niebezpieczny. Powinniście słyszeć Pellaeona, jak się nad nim wytrząsa.

Omega rzucili się do kanonierki po otwartej stronie, Darman chwycił pas bezpieczeństwa. Burak: więc kolejni oficerowie niekłony. Nie miał z nimi wiele do czynienia. Fi i Atin wyjrżeli z przedziału załogi z pewnością siebie wynikającą z posiadania zbroi, która może znieść znacznie więcej niż zbroja przeciętnego żołnierza. Darman obserwował lekkie pochylenie głowy w białym hełmie, kiedy piechota oglądała mundury i uzbrojenie komandosów; jak zawsze. Kiedy to jedyny cel w życiu, często zauważasz, co mają w rynsztunku inni, a czego ty nie.

– Ten czarny, matowy zestaw ciuchów – rzekł jeden z naziemnych – to po to, żeby na nim pisać ciekawe rzeczy lumimarkerami?

– To was uczą pisać? – Fi udawał, że jest wstrząśnięty. – Dlatego chodzicie trójkami?

– Co?

– Jeden umie czytać, jeden pisać i jeden, który lubi towarzystwo intelektualistów.

– Opowiedz mi to jeszcze raz, kiedy będę przy wciągniku twojej liny ratunkowej, dobrze?

Wszystko to były żarty. Nikt w każdym razie nie nazywał ich dziwakami kochającymi Mando. Lart lawirował pomiędzy szeregami potrójnych A i smugami dymu z flar.

– Tylko dla twojej wiadomości – cicho rzekł Niner. – Z reguły najpierw wchodzimy i zabezpieczamy cele, zanim zacznie się strzelanina. Wiem, że to idiosynkrazja, ale zdaje się działać.

– Powiedz to temu burakowi w eleganckim mundurze – rzekł zmęczonym głosem Tel. – Ja idę tam, gdzie mnie posyłają.

Było to surrealistyczne doświadczenie. Lart osiadł lekko, aby wysadzić żołnierzy na pusty rynek oświetlony żółtym blaskiem płonących pożarów. W zasięgu wzroku nie było ludzi – ani armii

obrońców, ani uciekających cywilów. Nic. Ale wiedzieli, że atak ma nastąpić, a Maritowie twierdzili, że pod ziemią jest cała masa przejść serwisowych, które służą również jako schrony.

Darman poczuł się nieco lepiej. Pobiegli do budynku HoloNetu, na który był ogromny napis „Holo gaftikar kanał dziesiąty”

Tel sprawdził notatnik na karwaszu.

– No cóż, wciąż nadają. A przecież mieli zneutralizować satelitę.

Atin wystrzelił kotwiczkę na dach i szarpnął linę, sprawdzając zaczepienie.

– Zobaczmy, czy możemy ich wyłączyć po łączu pośrednim – Wciągnął się na górę, a Niner i Fi stanęli wraz z 35. Oddziałem po obu stronach wejścia, podczas gdy Darman rozwijał taśmę materiału wybuchowego i eleganckim gestem przykleił ją na drzwiach.

– Kryć się! – zawołał. Odliczał do zera, a wszyscy rozbiegli się, szukając schronienia. – Ognia!

Drzwi rozpadły się w chmurze dymu i odłamków. Niner w jednej chwili znalazł się obok Tela, ratując honor oddziału, i zaczęli opróżniać budynek. Biegli awaryjnymi schodami, ponieważ winda ugrzęzła między piętrami. Darman osłaniał Ninera, który wyważył drzwi do biura, ale wewnątrz nie było nikogo.

– Mogą przekazywać zarejestrowane programy całymi dniami z matryc chipowych, sierżancie – rzekł Darman. – Może właśnie tak zrobili.

W HUD-zie rozległ się głos Fi.

– Chyba znaleźliśmy studio.

– Dlaczego?

– Bo na drzwiach jest napisane „Studio Dwa”.

– Więc wiemy już, że musi też być Studio Jeden.

Darman zajrzał do planu budynku, którą Maritowie przekazali Omedze, ale nie były na niej zaznaczone studia nagrań i transmisji. Może to nieistotne, skoro satelita przekaźnikowy został zablokowany, a Atin mógł rozmontować łącze pośrednie.

– Jeśli w ogóle jest tutaj ktoś z obsługi – powiedział – to zapewne bohater patriota przekazujący wiadomości o oporze, jaki stawiają mieszkańcy, w czasie kiedy my będziemy wyważać drzwi.

– Postaraj się nie uszkodzić zestawu i tyle – poprosił Tel. – Inaczej będziemy musieli dostarczać części zamienne, zanim pojawi się propaganda i te upiory z operacji psychologicznych.

Darman znów zaczął się zastanawiać, jak to wszystko się ma do jego misji. Pobiegł na górę, aby sprawdzić, co z Fi. Fi siedział przed wejściem do studia, przykładając czujniki do drzwi.

– Jakiś sygnał transmisji stąd wychodzi – rzekł. – Równie dobrze mogą zapukać.

Darman podniósł wzrok.

– Czerwone światło oznacza transmisję na żywo – nie wchodzić i tak dalej, prawda?

– Taaa – zgodził się Fi i wpakował kilka strzałów z Deece w panel sterowania z boku. – Faktycznie.

Darman nigdy się nie dowiedział, czy przy konsoli siedział ostatni dzielnny dziennikarz Eyat, puszczając w eter dumne komunikaty, zagrzewające do odpierania najeźdźców. Zanim się obejrzał, został wyrzucony w górę na wznak, a jego obwody audio wyłączyły się w jednej sekundzie, kiedy uniosła go kula ognia. Spodziewał się, że eksplozja będzie głośniejsza. Sufit wyleciał mu na spotkanie. Zderzył się z nim, przez chwilę nieruchomo zawisł w powietrzu, po czym spadł z hukiem, czując, że napierśnikiem uderza w coś twardego. Potem bezradnie zsuwał się na plecach po jakichś schodach, wymachując rękami, aby spowolnić upadek. Kiedy wreszcie przestał lecieć, nie słyszał już nic, oprócz deszczu gruzu łomoczącego w jego hełm.

HUD wciąż działał, tyle że nic nie było słychać. Po prostu nie miał audio. Próbował kanałów komunikatora i nic nie osiągnął, miał jednak ikonę POV Ninera i Atina. Poruszali się i dygotali, jak obraz widziany przez tańczącego człowieka. Wokół były gruzy i połamane durastalowe belki, a nad tym wszystkim unosiła się ściana pyłu gęsta jak dym.

Za to obraz Fi nie poruszał się wcale. Jego postać była przechylona pod ostrym kątem, jakby Fi leżał na boku na podłodze. Widać było gruzy, bardzo blisko w stosunku do ogniskowej, przyciśnięte do kamery wizjera.

– Fi? – wychrypiął i zdjął hełm. Wiedział, że jest potłuczony, ale nic nie czuł.

– Fi? Fi! – krzyknął. Usta miał pełne pyłu. Wypluł go, aż część poleciała na napierśnik. – Fi, vod'ika, co z tobą?

Odpowiedzi nie było. Darman przypiął hełm do pasa i zaczął rozgrzebywać rękami gruz w poszukiwaniu Fi.